

Stanisław Maślanka

część III z IV

Sygnatura notacji: **N0003**
Data urodzenia: **1.01.1924 r.**
Data nagrania: **28.11.2006 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Anna Teresa Pietraszek**
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 57 min, część III: 60 min, część IV: 44 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stanisław Maślanka: Jak został okrążony Kowel, nagle powstała jakaś panika, że będą się cofać i kolejarze ci niemieccy opuścili stację, i wyjechali do generalnego gubernatorstwa, i stacja jest pusta. Nie ma nikogo, stoją telefony, wszystko i działają, urzędują. Na stacji są ci, Węgrzy, którzy tam stoją. I tak niby pilnują, ja myślę, muszę zadzwonić do kolegów, co się tam u nich dzieje w Dorohusku. Dzwonię do nich, o, mówię, dobrze, że dzwonicz. Ty jesteś tam, żyjesz? Ja mówię, jestem i żyję. Mówi: Słuchaj, tam do ciebie pojechał pociąg. Ja mówię: Jaki pociąg, po co? A, mówi, wiozą znowu kolejarzy, bo ten, cofnęli to zamieszanie i jadą nie polscy kolejarze, tylko niemieccy kolejarze z powrotem obsadzić te stacje, które tam były. Ja mówię, dobrze, niech przyjeżdżają, zobaczy jakie. Ja z daleka widzę, jedzie pociąg. Już ja im zrobię psikus. Proszę panią, coraz bardziej się podbliżają, niedaleko semafor, a ja wziąłem, im otworzyłem semafor. To oni takie oczy zrobili, jak to, nie ma nikogo, tam wojska nie ma, nikt nie urzęduje, nagle otwiera się semafor, ci Niemcy przyjeżdżają, pytają się, co ty, to tyś tutaj otworzył semafor? Tak. A co ty tu robisz? Ja mówię, ja jestem do końca, więc Niemcy tak popatrzyli na mnie, ale za to ich kupiłem i miałem później, nie miałem z nimi żadnych kłopotów, jak gdzieś jeździłem czy coś, to wszystko pomagali. Była decyzja przejścia przez tory, „Kord” przysłała do mnie gońca, natychmiast podaj mi miejsca i obsadę tych wszystkich bunkrów, które są na torach. To było wieczorem. Ja mu to spisałem i mówię, jutro raniutko goniec odejdzie i pójdzie. Nie doszedł, bo już uderzyli. Tak że ten rozkaz wcale nie doszedł, szli na ślepo. Gdyby ten rozkaz otrzymali wcześniej, dzień co najmniej przed tym, to by zupełnie się inaczej ustawili i by wiedzieli, którędy przechodzić. Na przykład przez Terebejki przechodzili koło mostu. I tam nie wiedzieli, że jest most, więc Niemcy zaczęli z tego mostu strzelać i tam kilka osób zostało zabitych. Później ludzie, placówki tych zabitych naszych żołnierzy zaczęli sprzątać i chować na tym cmentarzu w Rymaczach. A tak to, nie wiem, to za nagle wpadło, a co nagle to wiadomo, zawsze wiąże się z dużymi kłopotami, tak że no, niestety

nie zdążyłem i szli, tak jak szli, straty takie jakie wyszły i tego. W każdym bądź razie, po przejściu już tych większych grup to zdarzały się takie różne poszczególne, to też z nimi miejscowe placówki jakoś organizowały, przysyłały do mnie, czy czasami, no, kolega kolejarz, no też przejście przez tory, złapał takiego młodego chłopaka, był ranny, wziął do siebie i tam u niego mieszkał. No, on teraz niedawno zmarł.

Anna Teresa Pietraszek: Ale jesteśmy już po stronie polskiej. Jesteśmy już w 1944, 22 lipca.

Stanisław Maślanka: Tak, no, to tak jak powiedziałem, spotkałem wszystkich swoich przełożonych oficerów. Zaczęło się to wszystko jakoś w jakiś sposób, no, melinować, czy ja wiem, no, jakoś ukrywać, bo przecież ci wyłapywali takich.

Anna Teresa Pietraszek: Kto wyłapywał?

Stanisław Maślanka: No i wszystko poszło z powrotem w konspirację, bo wyjścia innego nie było.

Anna Teresa Pietraszek: A kto wyłapywał? Co to byli za ludzie?

Stanisław Maślanka: UB, NKWD, no więc, jak weszli na Lubelszczyznę, w każdej gminie postawili wojennego komendanta i on rządził całą gminą. Miał do tego tych swoich enkawudzistów i w każdym terenie działał. Kilku takich komendantów zabili, ale to, powiedzmy, nie uratowało ludzi, ale taki sygnał był, żeby nie byli tacy odważni.

Anna Teresa Pietraszek: A ten wojenny komendant to był zawsze ruski?

Stanisław Maślanka: Oczywiście, tak, tak, bo to wojskowe, czyli NKWD. Bo to za frontem zawsze szło NKWD i oni tak samo, a w powiecie to było takie powiatowe wojenny komendant. Cały powiat ogarniał i on wszystkim rządził. I te władze powstałe musiały się z nim liczyć.

Anna Teresa Pietraszek: A jaki był los członków dywizji? Tak mniej więcej generalnie, jak to się układało?

Stanisław Maślanka: Och, los żołnierzy dywizji był, no, bardzo ciężki. Kto mógł i znalazł jakąś rodzinę na Lubelszczyźnie, to się gdzieś jakoś tam przechowywał. Wielu niestety trafiło do wojska, bo rocznik był poborowy, od 21. do 24. roku była obowiązkowa służba wojskowa u nas na Lubelszczyźnie, a na Wołyniu to obejmowała tam do 60 lat chyba, czy coś. W każdym razie, kto jeszcze został tam, to brali do wojska. Na przykład ludzie z tych wsi moich, których ja wyliczam, to wszystko jeszcze zostało. Oni dopiero w 1945 roku przyjechali na ten, więc tam w tym czasie zdążyli troszkę jeszcze zmobilizować tych miejscowych i służyli, musieli w tym Wojsku Polskim służyć. W 1945 roku już wszyscy przyjechali na teren Chełma, a z Chełma, to były różne pociągi na zachód, później był wyjazd, wyjeżdżali na zachód. Wielu umieściło się na wsiach ukraińskich, które wyjechały do Rosji, bo chciano tych wszystkich Ukraińców mieszkających na Lubelszczyźnie, przesiedlić na stronę ukraińską. No, ale różnie było. Koło Chełma zostały takie dwie wioski, które się nie dały wyrzucić i zostały, i do dzisiaj są. Ale w każdym bądź razie Polacy zajmowali te wszystkie wsie, przede wszystkim, kto pierwszy przyjechał, złapał jakąś wieś, jakieś gospodarstwo, to już zostawał. Ci, co nic

nie mieli, to od razu wyjeżdżali gdzieś na zachód, a ci, którzy od razu trafili na jakieś takie gospodarstwo, przyzwoite, czy jak, czy coś, to już mówi, gdzie ja będę szukał na zachodzie, będę tu blisko swego, może niedługo tam wrócimy na swoje gospodarstwa. Więc w ten sposób. A ci, co na Lubelszczyźnie, to najróżniej. Wielu poszło z powrotem w konspirację. Wielu było w WiN-ie i te przejściowe organizacje, które były w tym WiN-ie, tak że to...

Anna Teresa Pietraszek: I od tego momentu starajmy się skupić na panu. Tak jakby pan opowiadał teraz już tylko o sobie, oczywiście w kontekście tych wszystkich grup, ugrupowań, gdzie pan trafiał, ale pana losy są dla mnie od tego momentu pierwszoplanowe i jedynie ważne. Tak jakby opowiadał pan, no, wszystkie wnuczki, wszystkie się tu zeszyły i pierwszy raz słyszą pana historię.

Stanisław Maślanka: Więc zaraz po wejściu Sowieców rodzina moja była pod Lublinem, i ojciec, wiadomo, kolejarz, to co miał robić. Szukał pracy na kolei. Ponieważ tam, gdzie myśmy byli za Lublinem, wszystko Polacy byli, nic się nie zmieniło, nikt nie uciekał, Niemcy nic nie wysiedlali tych kolejarzy czy coś, więc wszystkie stanowiska były obsadzone. Więc ojciec pojechał do Chełma, a tam było akurat miejsce i takie stanowisko dla ojca i ojciec tam z rodziną wrócił, więc ja to nie bardzo chciałem się tam pokazywać, bo to zbyt blisko Chełma, ale w końcu też tam pojechałem, zacząłem pracować, najpierw taki stworzyli, on nie podlegał starostwu, tylko taki wydział wydzielony z urzędu wojewódzkiego, ale nie bezpieczeństwa, tylko tego administracyjnego, taki wydział... To był referat nie świadczeń socjalnych, tylko... Jednym słowem sprawy podatkowe. Więc ponieważ pieniądze w tym czasie nie odgrywały roli, więc od wszystkich rolników z Lubelszczyzny wyznaczili podatek w formie naturalnej. To znaczy, zboże, mięso i ci miejscowi ludzie musieli dawać, więc to był taki referat, który się tym zajmował i ja w tym referacie pracowałem. On się tak mieścił przy tym, przy starostwie, ale zasadniczo starostwu nie podlegał. Jeden z kolegów z Wołynia był szefem takiego, więc on wszystko o mnie wiedział, ja o nim też wszystko wiedziałem i tak byliśmy, i ja cały czas byłem w tej konspiracji i oczywiście nawiązałem kontakt z tą miejscową konspiracją dokładnie tak. Ta działalność początkowo to była właściwie taka pomoc, jak sobie zorganizować to życie. No i tak pracowałem. W końcu zaczęli mi się dobierać do skóry za działalność w dywizji. Ja widzę, że tu nie ma co.

Anna Teresa Pietraszek: A kto zaczął się dobierać do skóry?

Stanisław Maślanka: Było wiadomo i były aresztowanie przez UB, więc wiele osób zostało aresztowanych, już wtedy siedział Markiewicz „Mohort”, było wiele innych osób, więc nie mam, co czekać, tylko trzeba coś ze sobą zrobić. Najbliższa rzecz, no to tego, to do lasu, do... I tak zrobiłem. I to początkowo takim moim przełożonym był porucznik Hincza, który był komendantem rejonu. Powiat był podzielony na rejonu. On był komendantem rejonu „Rejowiec”, któremu podlegały trzy gminy. I właśnie ja cały czas u niego byłem w konspiracji. W końcu on gdzieś miał jakieś starcie z UB czy coś, został ranny. Chcieli go odwieźć do szpitala do Chełma, bo to był ciężko ranny. I w drodze, akurat trzeba trafu, że spotkał taki patrol UB. Oczywiście go, wiadomo, co to jest ranny, więc go wzięli do urzędu bezpieczeństwa, no i tego. Tam się dowiedzieli, kto on jest i jaki jest, i co, i on tam leżał, opieki mu tam lekarskiej nie dali i w końcu go tam zamęczyli. On tam zmarł, gdzie został pochowany, to nie potrafię powiedzieć, więc ja znowuż zostałem, a ponieważ tego rejonu rejowieckiego ja tam bliżej nie znałem, więc nie chciałem tam się jakoś bliżej angażować, bo tam, gdzie nikogo nie znam, prawda? Bo to byłoby ciężko, więc wróciłem znowuż i kontakty w dalszym ciągu utrzymuję

z komendą obwodu chełmskiego. W międzyczasie, jak ja byłem w tym referacie świadczeń rzeczowych, to mieliśmy możliwość jeżdżenia w teren, a to było bardzo łatwe, bo na każdą gminę był przydział ściągania tych podatków. A mnie to interesowało, bo ja musiałem składać sprawozdanie z tego, ile ściągali to i to szło później do powiatu, i szło do Lublina do tego. Więc pojechałem w rejon pierwszy tak zwany, Wojsławice, i tam spotkałem kolegę szkolnego, który był dowódcą oddziału, który wtedy już miał oddział taki, no, zbrojny w ilość plutonu. To już było koło czterdziestu ludzi. Tam na jakimś takim spotkaniu poznałem go, on mnie też poznał. Nawiązałem z nim kontakt bliższy i jak mnie się już tak zrobiło ciasno, to ja właśnie uciekłem tam do tych kochanych Wojsławic. To był maj, rok 1946. To oczywiście był WiN, tam miałem też sporo, sporo przygód. To ja już nie wiem, czy ja te przygody będę opowiadał.

Anna Teresa Pietraszek: Może takie przygody najważniejsze, najbliższe sercu.

Stanisław Maślanka: No, więc miałem taki kontakt z Wołyńiakami oczywiście i dowiedziałem się, że z Hrubieszowa ze straży granicznej jadą po pieniądze do banku. I to pilnie. Więc nie było nikogo, złapałem, akurat pod ręką było trzech żołnierzy na furę i do lasu pod Chełmem i czekam na tą straż graniczną, jak będzie wracała z pieniędzmi. Z daleka widzę, że wojsko jedzie, bo to łatwo było poznać, bo to żołnierze, wóz odkryty, żołnierze z karabinami stoją na tym, jeden z kolegów kładzie się na szosie z RKM-em. Tamci wiedzieli już, o co to chodzi, kierowca zatrzymuje się, zabieram im pieniądze, żołnierzy rozbroiliśmy, właściwie karabiny to nawet nie zabieraliśmy, bo nie było po co, wyrzuciło się tylko, czy zamki, czy amunicję, czy coś. W końcu oni... ich puściłem wolno, nie pojechali, no bo co mam tam do żołnierzy. Jak oni zajechali do Hrubieszowa i tam dopiero się zaczęło. Zebrali wszystkie oddziały, jakie były straży granicznej, UB i tak dalej, i za nami. Ale to już było tyle godzin, że jak złapać trzech ludzi, którzy napadli na ten. Oczywiście, że pieniądze zabraliśmy i to bardzo się nam przydały na nasze wydatki. Więc dalej praca tego rejonu. Zaraz po wojnie natworzyło się różnych rzezimieszków. Było ich strasznie dużo. Przede wszystkim pierwsza rzecz to walka z tymi złodziejami, bo to strasznie dużo było. Jak ja przyszedłem, to już było troszkę czyściej, ale rok 1945 jeszcze był, rok 1945 był najgorszy. Poza tym w terenie było dużo różnych rozbitków z różnych oddziałów. Takie najróżniejsze oddziały. Duża grupa uciekła z Wojska Polskiego z broni pancerniej. Była grupa podchorążych z... to się nazywało Oficerska Szkoła Artylerii. W Chełmie taka była. Stamtąd też dużo uciekło. To znowuż w terenie było. Wie pani i nastąpiło takie wielkie bezkrólewie. Nie wiadomo, kto rządzi, jak rządzi, co tego. W końcu doprowadzono do porządku, useregrowano gdzie, kto ma być. Te oddziały się porozwizywały, wyjechały gdzieś różnie i tego. Został tylko taki oddział właśnie porucznika „Młota”, Henryka Lewczuka, kolega szkolny, który był podchorążym z tej Oficerskiej Szkoły Artylerii z Chełma. No i przyszedłem do niego. I tak zostałem aż do ujawnienia. Ujawniliśmy się 16 marca 1946 roku, jak przyszedł rozkaz zarządu głównego WiN. Trzeba było się ujawnić, taki rozkaz był. Mieliśmy początkowo przyjechać wszyscy do Chełma i w Chełmie złożyć tę broń, ale drogi były tak zawiane, tak paskudne, że dojechać do Chełma ani sałmami, ani wozem nie można było, zadzwoniłem sam osobiście do szefa UB do Chełma, mówię: Panowie, chcecie, żebyśmy się ujawnili? No, oczywiście. To mówię: To przyjeździe do nas, my nie mamy czym dojechać. Nie ma czym dojechać. No, to kiedy przyjeździe? Ja mówię: Przyjeżdżajcie jutro, tak jak było mówione. No, przyjechali rzeczywiście następnego dnia, wszystko to się... oddział broń złożył, placówki te, które były pod naszymi rozkazami, też się ujawniły i każdy udał się w swoją stronę.

Anna Teresa Pietraszek: Czyli puścili wolno, tak? Po ujawnieniu puścili wolno?

Stanisław Maślanka: Tak jest, tak.

Anna Teresa Pietraszek: Tak, po złożeniu broni puścili wolno.

Stanisław Maślanka: Po ujawnieniu, tak, wszyscy poszli wolno. Mnie nawet i „Młotowi” pozwolili zostawić pistolety. Pytam się, po co mi ten pistolet, przed kim ja się będę bronił, mówię, chyba przed wami. Nie, ale na wszelki wypadek weźcie. No, to celowo. Ja mówię, dobrze. Oczywiście przyjechaliśmy następnego dnia, już była droga możliwa. Jakoś dojechaliśmy. Oczywiście poszedłem tę broń zdać, ale oni właśnie byli wszyscy inni ciekawi, jak to wyglądam i tego. Będąc w tym oddziale taki bardzo charakterystyczny wypadek, przyjechał angielski dziennikarz, Derek Selby. No i był bardzo ciekawy. Miał kogoś tam znajomego w Warszawie, który znał ten teren, gdzie myśmy byli, wziął go i przywiózł. Dogadali się, no i przyjechał, obejrzał nas wszystkich i rozmawialiśmy. Pytał się, co będziemy robili dalej. Mówimy, walczymy dalej. Co będzie, to my jeszcze nie wiemy, bo jeszcze wtedy, to był okres jeszcze wtedy do ujawnienia, to było jeszcze kawałek czasu. Poza tym, co jeszcze takiego ciekawego się tam zdarzyło. Oczywiście ja byłem zajęty taką stroną, zostałem oczywiście zastępcą komendanta tego rejonu „Młota” i wszystkie sprawozdania i tak dalej, to ja wszystko robiłem. I oczywiście do komendy obwodu to było dostarczane, komendy obwodu WiN oczywiście było dostarczane. Po ujawnieniu no to każdy w swoją stronę. W Chełmie nie ma co zostawać, bo tutaj nas każdy zna, więc wyjechaliśmy najpierw do Wrocławia. Co we Wrocławiu robić? Trzeba pójść do pracy. Zacząłem pracować. Tak samo i inni koledzy młodszy, i tak jakoś pracowaliśmy, ale ciągle spotykaliśmy się, można powiedzieć, z rozbitkami, z pozostałościami tych żołnierzy z WiN-u i to się ciągnęło. W tym czasie powstawało mnóstwo organizacji młodzieżowych. Co się działo po szkołach, to bardzo tych organizacji było dużo. No i ciągle się człowiek między nimi obracał, bo to jak znał wszystkich i tego. W końcu przyszli i mnie aresztowali. No i posadzili, zrobili rozprawę sądową i dostałem karę śmierci. Mieszkałem we Wrocławiu i przyjechali do mnie dwoma samochodami ciężarowymi UB, zabrali mnie.

Anna Teresa Pietraszek: Która godzina, jaka ulica?

Stanisław Maślanka: To ja wtedy mieszkałem przy ulicy Chrobrego. Numer? O, już nie pamiętam nawet. Przy ulicy Chrobrego, blisko dworca Nadodrze. Wtedy była ze mną siostra, ale siostry w domu nie było, bo akurat była chora w szpitalu. Więc zabrali tylko mnie, trzymali parę dni w wojewódzkim urzędzie w Chełmie i zabrali mnie do Łodzi.

Anna Teresa Pietraszek: A który to był dzień? Jeżeli pan pamięta, który dzień, jaka godzina, kiedy pana aresztowano? Jak to było? Jest pan w domu, a tu nagle... Dzwonek?

Stanisław Maślanka: Ponieważ ja wynajmowałem taki pokój u dozorczy, więc jak zaczęli pukać do tego, do drzwi, to ja to posłyszałem, on jakoś tego nie posłyszał. Ja podchodzę do drzwi i pytam się: Kto tam? A, proszę otworzyć, tego, ja mówię: Już, już wołam dozorcę. Nie, mówi, nie potrzeba, niech pan otwiera. To ja otworzyłem. Oczywiście ręce do góry, wpadli, jak tego, tam rewizję zrobili, właściwie nic nie znaleźli, bo ja nic kompromitującego nie miałem i od razu w samochód osobowy, jeden ciężarowy na przodzie, drugi z tyłu i tak mnie zawieźli, bo to wielki przestępca,

zawieźli do urzędu wojewódzkiego we Wrocławiu. To jest przy ulicy, znane takie miejscowe, jak to się nazywało, przy jakiej ulicy, wie pani, już uciekło z głowy.

Anna Teresa Pietraszek: A którego to było dnia? Który rok?

Stanisław Maślanka: To było 31 maja 1950 roku.

Anna Teresa Pietraszek: A czy to było nad ranem, czy w nocy?

Stanisław Maślanka: Nad ranem. To było już nad ranem, tak. To właściwie nad ranem już było. Nie pamiętam...

Anna Teresa Pietraszek: I zawieźli pana do tego Głównego Urzędu Bezpieczeństwa pewnie?

Stanisław Maślanka: Tak jest. Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa, Podwale Świdnickie, takie znane niemieckie, gestapowskie urządzenie, urząd taki. Tam się UB mieściło i tam wszystkich przetrzymywali.

Anna Teresa Pietraszek: I co dalej? Jak pana wysadzili z tego samochodu osobowego, ktoś pana gdzieś prowadził? Niech pan to opisz.

Stanisław Maślanka: Ci urzędnicy UB zaprowadzili mnie do jakiegoś pokoju, spisali tylko personalne, urodzony i tak dalej. Te takie osobiste te. I bliższego żadnego śledztwa tam nie miałem, bo oni aresztowali mnie na zlecenie Łodzi. Tak że to nie oni mnie aresztowali, tylko Łódź. Parę dni tam posiedziałem, zapakowali mnie w samochód osobowy, oczywiście kilku tych strażników, ja skuty, wszystko, tak jak potrzeba i zawieźli mnie do Łodzi. Dlaczego do Łodzi? Dlatego, że w tej Łodzi miałem kontakty z dawnymi takimi grupami, odpadami po WiN-ie. Byli tam i żołnierze dwudziestej siódmej, byli też z Wileńszczyzny, z Grodzieńszczyzny. Tak różni ludzie. Miałem z nimi kontakty. Ich tam wszystkich aresztowali, więc jak ich aresztowali, to mnie też. No, za zwykłą znajomość to mnie wszystko tak później oskarżyli i w końcu dostałem karę śmierci.

Anna Teresa Pietraszek: A jak pan długo siedział? W jakiej celi pan siedział?

Stanisław Maślanka: To zaraz pani opowiem, więc śledztwo miałem w ten sposób. Pierwszy tydzień też w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego, pierwszy tydzień to tak, ani jeść nic nie dostałem, ani spać mi nie dali, cały tydzień bez przerwy, 24 godzin śledztwo. To znaczy, głupoty ciągle na około, bo w dzień to urzędowali ci ważniejsi prowadzący śledztwo, a na noc to dawali takich praktykantów. Oni tam o niczym nie wiedzieli, ale cały dzień, chodziło o to, żeby mnie męczyć, nie dać oczywiście nic jeść, nie dać spać i tego. Cały tydzień tak to mnie męczyli. Ja nie zdawałem sobie sprawy, że człowiek może tyle wytrzymać bez jedzenia, ale co mnie ratowało. W czasie tych nocnych przesłuchań, to ja ciągle prosiłem do toalety. I ci wszyscy, no, tacy pojęcia nie mający, tacy praktykanci, oczywiście odprowadzało mnie. W tych toaletach była woda. Były krany i tak dalej, bo tam się można było umyć, bo to takie domy trochę jakieś mieszkalne też były i ja tej wody żłopałem, ile tylko się dało. Bez przerwy

i tego. Po tygodniu czasu przyszedł cały szef UB obejrzeć mnie, czy ja jeszcze żyję. Wiedział dokładnie, że ja nic nie dostaję do jedzenia. Mówi, no to teraz zamknijcie go do celi, kazał jakiemuś tam temu ubowcowi, dał mu pieniądze, mówi, a tu kup mu jedną bułeczkę w bufecie. Kupił ten ubowiec tę bułeczkę i przyniósł. A ten szef UB mówi: No, daj mu. On daje mnie, ja tak nie wiedziałem, co z tym zrobić, to basem na mnie: Zjedz to. No, myślę, cholera, jak bułkę zjem, to mi się nic nie stanie, prawda? Bułka świeża z bufetu. No, zjadłem tę bułkę. Na pewno chciało mi się jeść. Czy miałem temperaturę, bo ja z tego krzesła to spadałem. Co jeszcze w czasie śledztwa było? Mieli taborety przykręcone do podłogi. I teraz, jak to wyglądało. Te taborety miały okrągły ten, ale okrągły o takiej bardzo małej średnicy, więc nie można było sięść całym tym, trzeba było siadać albo jedną stroną, albo drugą stroną, co bardzo męczyło. Oczywiście tam bicie, to już nie mówię, w jaki sposób i co, co mieli pod ręką to ciągle mnie lali, poobijany cały byłem, nogi to miałem tak spuchnięte, bo mnie, jak co, to włożył na nogę i skakał po palcach. Całe te palce były spuchnięte. Ręce poobijane. No i tak, no, w końcu...

Anna Teresa Pietraszek: Może jakieś nazwiska?

Stanisław Maślanka: Wiadomo, kto mi prowadził śledztwo, on dawno nie żyje, bo wtedy, jak on mnie prowadził śledztwo, to miał 50 lat, więc teraz musiałby mieć 120 czy ile. Tak że w tej sprawie przesłuchiwał mnie IPN, ja im tam dokładnie wszystko opisałem dokładny przebieg śledztwa. No i wtedy, jak już tę bułeczkę zjadłem, to zaprowadzili mnie do celi. Cella, taka zrobiona z baraku, taka dobudówka, prawda, dach, tego i tam oczywiście okien nie było. Nie wiem, jak to tam. Czy z boku może małe okienka były, już nie pamiętam dobrze, ale większa jak ten pokój i tak wzdłuż były sienniki. Takie sienniki, gdzie słomy to tam nie było, bo ta słoma była tak już tam sflumiona, że to był już tylko proszek. Więc tam się położyłem i tam leżałem. I jeszcze na dalsze śledztwo, to właśnie z tej celi mnie prowadzali. I to tak było, że do dziesiątej na ogół oni nie brali, dopiero po godzinie dziesiątej, bo tak jak, a, było okienko, jak wyglądałem, to zegarka oczywiście nie miałem, to tak widziałem po cieniu, aha, godzina dziesiąta mija, to znaczy, dzisiaj chyba nie będę miał śledztwa, bo koło dziesiątej to mnie już wzywają, to już byłem spokojny. W końcu jak to śledztwo skończyli, to odwieźli mnie do więzienia. Do więzienia w Łodzi przy ulicy Szterlinga. To było więzienie takie przerobione z bloków mieszkalnych po prostu. Stare kamienice. Wjeżdżało się do bramy, oficyna po lewej, oficyna po prawej, oficyna wprost i to wszystko zamienili na więzienie. No, mnie tam też dali i tego. To już byłem na celi takiej ogólnej. Już śledztwa nie było. No i czekałem, co będzie dalej. W końcu przyszła ta rozprawa sądowa i to było chyba w październiku, w rocznicę rewolucji czy coś, albo obok, w roku 1950. W roku 1950, tak. Bo ostatniego maja mnie aresztowali, więc cały czas miałem to śledztwo. W roku 1950... miałem rozprawę sądową i na tej rozprawie sądowej oczywiście dostałem wyrok śmierci, więc jak dostałem wyrok śmierci, to tych ubowców się naszło i straszne brawo bili, bo nas tam dostało czterech wyrok śmierci, bo to była większa grupa. Czterech ludzi dostało wyrok śmierci. No, to oni się strasznie cieszyli i brawo bili. Jak mnie przywieźli na tego, do więzienia i tam oczywiście dowiedzieli się, że ja mam wyrok śmierci, to do celi śmierci. Ta celda śmierci mieściła się, jak się wchodzi do bramy, w lewej oficynie na pierwszym piętrze był taki krótki oddział, były cztery cele. Wejście na pierwsze piętro i dwie cele w jedną stronę, dwie cele w drugą stronę. Po lewej stronie celda śmierci i pracownicy z kuchni, więźniowie, po prawej tak samo. Celda śmierci i pracownicy z kuchni po prawej stronie i tak w tej celi siedzieliśmy. Dali mnie tam, no, wiadomo, tam już lokatorzy byli. Zacząłem z nimi rozmawiać, to wszystko sprawy poakowskie, jeden się trafił tylko granatowy policjant. Dlaczego tam, jak i co,

to tego nie wiem. A, muszę wrócić jeszcze do śledztwa. Jak siedziałem w Łodzi, to dali mnie najpierw nie do tej dużej celi, tylko do takiej malutkiej celi, gdzie były trzy osoby tylko. Więcej się nie mieściło. O, to taka klitka. I tam trafiłem, wiecie na kogo? Na pułkownika kapelana spod Monte Casino, księdza Studzińskiego. Żyje jeszcze. I w tej celi tam, jak długo siedziałem, to już nie pamiętam, ale zresztą to nieważne, czy tydzień, czy dwa, czy trzy, dopiero później mnie przenieśli. Ten trzeci to był oczywiście szpicel, który coś chciał wysondować, co my mówimy, ale co on im tam mówił, nie wiem, ale tego, później przenieśli mnie właśnie do tej większej celi, a tam z kolei spotkałem, też złapiecie się państwo za głowę. Naczelnego świadka Jehowy na całą Polskę. Edward Kwiatosz. Śledztwo miał też bardzo, bardzo ciężkie. Podobne do mego. No i tego, zacząłem z nim rozmawiać, bo mniej więcej, nie wiem, czy tego samego dnia go dali, czy może dzień później, w każdym razie czy on może był już, jak ja przyszedł, w każdym bądź razie różnica w dniach była niewiele, jak żeśmy tam siedzieli. No, więc ja się pytam, cóż od pana chce to UB. Przecież UB to zaraz po wojnie dawało wam samochody, wszystko, urządzało zjazdy, strasznie bardzo popierało świadków Jehowy. Bo oni sądzili, że w ten sposób rozbiją, rozwalą kościół katolicki. Okazało się, że nieprawda, że świadkowie Jehowy to porządni ludzie. Tacy oni rzeczywiście są, wiemy. Są porządni ludzie i wcale do tego nie doprowadziło. No, no dobrze, to my... Ale coś trzeba z nimi w końcu zrobić. Bo oni wcale nie pomogli nam, a teraz głoszą tę swoją wiarę i tym bardziej nam szkodzą. No to zamknęli ich i tego. I zrobili im śledztwo, każdy miał oskarżenie o szpiegostwo. Dlaczego? Dlatego, że oni chodzili tam po wsiach, czy po innych tych. Miał taki plan, gdzie ma być, gdzie się umówione, gdzie, jak i co. No, kto? To wiadomo, że to szpieg z tym chodzi i coś tam po drodze szpieguje. Tak ich pozamykali i tak siedzieli. Później, jak mnie przenieśli, nie wiem, czy to jeszcze na śledztwie było, czy już na tym, patrzę na tych świadków Jehowy, wszystko ubrane po amerykańsku. Ja mówię, cholera, co wy z Ameryki przyjechaliście, świadkowie Jehowy? Nie, my jesteśmy tu Polacy, miejscowi i tak dalej. Mówię, a skąd macie te amerykańskie ubrania? A, bo nasz, nie wiem, jak on go nazwał, coś odpowiednik biskupa z Nowego Jorku, takiego większego, czy może najważniejszego w Stanach Zjednoczonych, przyjechał do Warszawy i załatwił z rządem polskim, że przydział UNNRA dla nas jakby to wydzielili. Dali jakąś pulę, prawda? Dali im to, i oni tak między swoich świadków Jehowy to rozdzielali. Ale to jeszcze w tym czasie, jak oni myśleli, że oni coś pomogą UB, ale tego... Jak ich przenieśli do tego więzienia, to zamknęli ich wszystkich w jednej celi. O, po co oni mają nawracać? No i do tej celi dali też tego mego kapelana spod Monte Casino, księdza Studzińskiego. On właściwie zakonnik jest, to jest zakon...

Anna Teresa Pietraszek: Dominikanie.

Stanisław Maślanka: Dominikanów, tak. Myśleli, że tam oni się tego, ale tego, świadkowie Jehowy byli bardzo grzecznie, wszystko, no, ksiądz to ksiądz, wszystko jedno. No, ja później się pytałem księdza, czy tam coś starali się go nawrócić. Nie, nie. Wiedzieli, że ksiądz, to co będą go nawracać, to szkoda chyba, szkoda tylko czasu. A tak to oni wszystkich nawracali i jedna najważniejsza rzecz, co wtedy bardzo głosili, że będą zbawieni tylko po śmierci ci, którzy przystąpią do nich... Jak oni to mówili, przyjmą wiarę, czy jak, czy coś, będą tylko u nich. Teraz ci świadkowie Jehowy się płczą co pewien czas. Jak tylko, teraz to już nie, ale zaraz jak tylko wróciłem z więzienia, jestem u znajomych, oni przychodzą. O, świadkowie Jehowy. O, ja mówię, jak to dobrze, że ja was widzę. A co takiego? Ja mówię, słuchajcie, ja siedziałem z Kwiatoszem, z tym naczelnym waszym tym i tego, i chciałem z nim porozmawiać. Dobrze, dobrze, dobrze, zabrali się i poszli. Bali się, nie wiedzieli z kim gadają, tak że, jak później się zjawiali świadkowie Jehowy, ja zaraz ich o Kwiatosza pytałem, tak że nawet tutaj 10 lat temu, czy ile, też ciągle pytałem i on wtedy

żył, prosiłem wielu, słuchajcie, ja mówię, siedziałem z nim, co wy się boicie, teraz już nie ma się co bać, możecie śmiało te swoje wszystko głosić, a ja bym się chciał z nim spotkać, zobaczyć jak to jest. Nie dali mnie. Nie tak dawno, to chyba było w ubiegłym roku, przyszła taka, zobaczyłem, ja się pytam, co się dzieje z Edwardem Kwiatoszem. On był ode mnie starszy, kilka lat był starszy ode mnie wiekowo. Pytam się, co z nim się dzieje. A, no niestety on nie żyje, ale bardzo pana zapraszamy tutaj na ulicę Kanałową. My tam mamy stałe takie prelekcje. Zostawili ulotkę, zabrali się i poszli. No i tak skończyła mi się, właściwie ze świadkami Jehowy nie skończyła się, bo oni ciągle przychodzą. Z tym że ja zawsze mówię, że nie mam czasu na rozmowę. No, ale to teraz co się daje w celi śmierci. Kto tam siedział, to tak jak mówiłem, wszystko akowcy, jeden tylko policjant granatowy i jeden chłop ze wsi. Ten chłop ze wsi dostał też karę śmierci. Proszę państwa, za co on tę karę śmierci dostał. Mieszkał koło Radomska przy takim głównym trakcie, przychodzili do niego Żydzi. Wiadomo, tych Żydów w początkach, jak zaczęli ich mordować Niemcy, wszędzie po wsiach pałętało się dużo. Jak oni przychodzili, wszędzie Polacy ich żywili. W końcu ci Żydzi przez tyle, co chodzili, w końcu już się załamali i powiedzieli, że dalej nie pójdą, oni tu zostaną. Chciał ich wyrzucić, no, siłą jak ich wyrzucić, co, bić ich czy jak? Nie ma co. Wziął, poszedł do sołtysa i mówi: sołtysie, co ja mam robić z tymi Żydami? Pójść skarżyć nie pójdę, bo oni przyjadą, zabiorą ich wszystkich, tych Żydów rozwalą, co ja mam robić? Tam w jakimś innym mieszkaniu było to samo. Sołtys mówi, cholera, no to przykra, bo jak będziemy ich jakoś chować, to przyjadą i całą wieś spalą. Bo tak robili, jak tylko więcej gdzieś tam w wielu innych mieszkaniach, to znaczy, wieś żywi Żydów. To poszedł, Niemcom zameldował. No, bał się. Mówi, lepiej ratować jest Polaków, bo nie wiadomo, co nas czeka. I tego, i oczywiście tych wszystkich, u których się Żydzi przechowywali, a zwłaszcza tego, że on, sołtys mówi: No, a skąd ty wiesz? No, on musiał powiedzieć, że tam sąsiad przyszedł, ten, zresztą nikt nie miał do niego pretensji, że to powiedział, bo przyszli do niego zgłosili. No, to go aresztowali i tak siedział. Siedzi, siedzi on, ja już te zwyczaje tam wiedziałem, wiedziałem, kiedy zabierają na wykonanie wyroku, więc z sądów cywilnych było wieszanie, z sądów wojskowych było strzelanie. Taki był regulamin. Któregoś popołudnia jeszcze nie ta pora, słyhać, bo to jak te trzaski tych zamków są otwierane tymi kluczami, to duży klucz, to hałas słyhać nie z tej ziemi. Słyszałem trach, trach, wejście do naszego pawilonu się otwiera. Mówimy, no, już idzie, a koledzy mówią, słuchajcie, co to tak wcześniej, coś to za wcześniej. Słyszymy, tup, tup, tup, tup, do naszej celi. Otwierają celę: Wolski wychodzić! Cisza. Nikt się nikt nie odzywa, zabrali go. W dalszym ciągu cisza. Przecież nikt nie chce tego komentować, bo nie ma co, każdy po cichu się tam gdzieś jakoś modlił i tak siedzi. No, jeszcze nie położyliśmy się spać, bo oni chodzą i zaglądną, czy my leżymy na tych wyrkach, czy nie, jak nie, to każą się kłaść. Nagle słyszymy trach, trach, znowuż wejście do naszego pawilonu. Mówimy, co jest, czy to już... Koledzy mówią, też jeszcze za wcześniej, coś wszystko jest to dzisiaj nie tak. I znowuż puk, puk, puk, puk, do naszej celi. Otwierają, wpychają. Wolski wszedł. My mówimy: Wolski, co się dzieje z tobą? On taki na pół przytomny, mówi: Żona. My mówimy: Co żona? Mówi: Żona była u mnie. Jak to żona była u ciebie? To czasy, gdzie nie ma żadnych widzeń, nikogo nie wpuszczają, nic nie tego, jak to jest, jak to mogła do ciebie żona przyjść? A bo dzisiaj była rozprawa w sądzie najwyższym, czy gdzieś i nie wiem, czy mu zdjęli na 15 lat, czy ułaskawili na żywocie, już teraz dobrze nie pamiętam. I żona przyjechała powiedzieć, że wyroku śmierci na mnie nie wykonają. To jak żonę puścili? Kobieta wszystko może. Jak przyszła do tej bramy, jak zaczęła ich tam molestować, że... i to taka ważna rzecz, zawsze, wszędzie są ludzie. Ona trafiła na jakąś zmianę taką, tam ją wewnątrz nie puścimy. Poszli, jego wzięli, przyprowadzili do tej bramy wejściowej i przy tej bramie wejściowej powiedzieli: Tylko moment. I ta żona mu te dwa zdania powiedziała. Jego pchnęli z powrotem, a ona pojechała. No, dla niego to była ważna wiadomość. To pierwszą rzecz, jaką przeżyłem, jak wygląda zabieranie. No, ale czekamy dalej. Siedzę ja w tej celi, no i tak

czekam. Wyrok będzie wykonany, czy nie. No i pewnego wieczoru o określonej porze, tak jak współlokatorzy mi mówili słycać zgrzyt, zgrzyt, czyli na nasz pawilon. Po schodach drugi raz i idą na prawo. Do mnie się szło na lewo. Idą na prawo, poszli tam, słycać, otwierają celę, słycać, że ktoś wychodzi, zamykają celę, schodzą na dół. W celi mojej cisza. W takiej sytuacji nikt się nie odzywał, każdy siedział w skupieniu i czekał, czy na niego teraz nie trafi, bo wiadomo, że jednego już wzięli, a tam wszystko siedziało to z różnych grup, więc jak kogoś wzięli, to z tamtej celi, to mógł przypuszczać, że jego też wezmą, bo kogoś już z tej grupy mogli wziąć. No i tego, mijają jakiś czas, nie pamiętam, ile to było, pół godziny czy godzina. Słyszymy znowu trzask, trzask, był góra trzask, trzask, schody, nie schody, tylko kroki w naszą stronę, do mojej celi. Otwierają celę: Więckiewicz, wychodzić! Z mojej sprawy. Zabrali go, wyszedł, zatrzasnęli, znowu cisza. No i tak czekamy, co będzie dalej. Więc w tym dniu więcej nikt się nie pokazał. To ci bywalcy, którzy tam długo już na tej karze śmierci siedzieli, ja stosunkowo dużo krócej siedziałem, więc wiedzieli, że to wygląda na to, czyli jak wzięli z drugiej celi jednego i stąd jednego, to znaczy, że wzięli dwóch, nas było wtedy czterech skazanych na karę śmierci, to znaczy, wzięli dwóch. To znaczy, ci dwaj, z tego by wynikało, tak oni liczyli, że raczej chyba już nie tego, bo jak załatwiają sprawę i są wyroki, to raczej wszystkie. Choć nie raz bywa i tak, że mogą zostawić na dłużej, na jakieś dłuższe śledztwo. No, ale siedzę tak dalej i siedzę, i tego. Przyjeżdża do mnie mama. Wiedziała, że mam wyrok śmierci, bo na rozprawie była. I tak rozmawiamy, i mówi tak: Słuchaj, masz pozdrowienia od Łodzi. Ja mówię: Co, wyszła przedwczoraj za męża? Matka się pyta, a skąd ty to wiesz? Ja mówię, wiem. Zmienił się temat i tego. Więc wyobraźcie sobie państwo, że tej nocy siostra była u tej swojej koleżanki, przyjaciółki, była na weselu. Ona, ja ją, ona mnie bardzośmy się znali, w ogóle nasze rodziny się bardzo dobrze znały i później, jak ja wyszedłem, to pytam się siostry, jak to było. Siedziałaś na takim małym stołeczku u niej i ona do ciebie podchodziła, mówi: Tak. I mnie się to dokładnie... o której godzinie to było. Mnie się wszystko to dokładnie przyśniło. To znaczy, godzinę trudno powiedzieć, w nocy, o której godzinie mi się to śniło, bo całą noc spałem, ale tak to było. Nie wiem, jak państwo na to powiedzą. Drugi wypadek, też jeszcze z celi śmierci. Śni mi się nagle wielki ogromny rów, jak to kopia dla tych skazanych. Przy tym rowie jest zawsze wrzucona taka ziemia, wyżej, żeby to wszystko było. Na tym takim zrobionym jakby nasypie stoją dwie osoby. Nagle moment, te dwie osoby spadają do tego rowu. Wstaję, nikomu nic nie mówię, bo taki sen to więźniowie są bardzo przesądni, więc myślę, i tak każdy jest już podnerwowany, bo tyle siedzi na tym, więc snu tego nie będę powtarzał. Sen był w tym dniu, kiedy... To byli ci koledzy, którzy mieli właśnie z mojej, z tej samej grupy karę śmierci, właśnie, na których wykonali karę śmierci. W przeddzień to.

Anna Teresa Pietraszek: Czyli w przeddzień...

Stanisław Maślanka: Tego samego dnia, jak mi się przyśniło, w tym samym dniu przyszli po nich. Więźniowie są przesądni i wierzą w sny. Jak to wytłumaczyć? Nie wiem. Nie było wyraźnie powiedziane, że to są akurat ci koledzy. To z daleka niewidoczne. Tutaj wyraźnie to mi się śniła siostra i ta koleżanka, to szczegółów takie doskonałe. Tak że... A z tą karą śmierci, to jeszcze dalszy ciąg był. Ja nie wiem, ja może też to opowiem. Wprawdzie opowiem, jak mi się siedziało w obu więzieniach, ale skoro jesteśmy przy tym, w końcu jak mnie zwolnili, to tak krótko opowiem. Jak mnie zwolnili, to tego...

Anna Teresa Pietraszek: Niech się pan tylko nie spieszy. Niech pan opowiada niekoniecznie krótko.

Stanisław Maślanka: Ja jestem już w pociągu i jadę z Warszawy do Chełma. Siedzę w pociągu, jak to ludzie, jak tylko popatrzą, no, wiadomo, jak ubrany, jak co. Pyta się jeden facet: Skąd pan jedzie? Gdzie pan siedział? Ja mówię: We Wronkach. A zna pan takiego oddziałowego, Świderskiego? Myślę, już szykuje się jakaś prowokacja. A Świderski to ten, który wykonywał wyroki. Myślę, co oni tu chcą ode mnie, kto to jest? A mówię, wie pan, bo to taki straszny łobuz, jego wyrzucili z więziennictwa, bo on narobił jakichś tam nadużyć i szachrajstw. Myślę, dobrze mu tak, jeśli wy mówicie prawdę. Ale co, ale dla mnie to wszystko takie niezrozumiałe. Za chwilę przychodzi konduktor, popatrzył, aha, bilet Wronki–Chełm. Mówi, pan pozwoli ze mną na korytarz. Myślę, no, znowuż drugi, o co tu chodzi. A ten mówi, proszę pana, ja się nazywam tak i tak. Pańską rodzinę doskonale znam i wielokrotnie jak jeżdżą do pana na widzenia, to wiem, gdzie jadą. Więc jechałem już tak do tego domu bezpiecznie. Co to byli za ludzie, którzy mnie się pytali o tego Świderskiego? Przypadek? Raczej tak, prawda? No, bo kto by kogo... ale jak było z tym zwolnieniem, jeszcze tu później będzie, to tego...